Ner 11. Kraków, 18go Marca. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 złr. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 złr. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 złr. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 złr. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 złr. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 7 cent., nastepnie po 4 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stępel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie**, Ulica Sławkowska.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

Od Redaktora.

Z końcem tego miesiąca marca b. r. skończy się drugie ćwierć rocze istnienia *Niewiasty*, pisma czasowego, Płci Pięknej wyłącznie poświęconego, które rozpocząłem i w tem przekonaniu prowadzę, że Towarzystwo ludzkie tem wyżej się wznosi, im płeć piękna wyższe zajmuje stanowisko pod względem myśli i uczucia, moralnie i estetycznie wykształconego. Nie mogę się skarżyć na brak poparcia ze strony Szanownej Publiczności, wszakże nie podobna mi przyznać, aby toż było dostatecznem; owszem moralnie znaglony jestem powiedzieć, że jeżeli jeszcze przed upływem roku 1861 poparcie większem nie będzie, *Niewiasta* dłużej jak do końca 1861 r. utrzymać się nie zdoła.

Dodać powinienem, że nietylko głęboko czuję, ale i najjaśniej przekonanym jestem, iż pismo moje jest dalekiem od celu, który sobie zamierzyłem; aby je rozwinąć bardziej i posunąć naprzód, na to trzeba znacznego współudziału Publiczności.

Tego współudziału, nie będąc pessymistą, spodziewam się, jakem powinien.

Upraszam: 1ód aby Ci, którzy jeszcze winni za pierwszy kwartał 1861, jak najspieszniej należytość przysłali; 2re aby Ci, którzy tylko po 1szy kwiecień 1861 należytość zapłacili, dalszą jak najśpieszniej uiscili, dla niedoznania przerwy w odbieraniu dalszego ciągu pisma. Nakoniec, aby Życzliwi tendencyom Redakcyi raczyli przysporzyć jej, wpływem swoim, więcej Prenumerujących, w którym to celu posłano z 10ym Nrem po dwa zwrotne listy dla ułatwienia łaskawego pośrednictwa.

Dołączamy też do 11go Nru rycinę strojów Polskich, dla Tych, którym z 10m Nrem posłać jej niemogliśmy, aby i chwilowej potrzebie zaradzić, i większą przychylność dla naszego pisma pozyskać. Przyrzekamy też, że za powiększeniem liczby Prenumerujących, nietylko strojów polskich, ale i wzorów robót damskich (deseniów) od czasu do czasu dołączać bezpłatnie nie zaniedbamy.

Temi słowy poruczyliśmy i poruczamy dalszy los czasowego pisma *Niewiasta* obywatelskiej dążności Zacnych Polek.

BOHATERKA.

Bohaterstwo, poświęcenie się sprawie poczciwej, oto najpiękniejsze kwiaty wplecione w wieniec uczuć, zdobiący serce Niewiasty. Która ma tyle łaski u Boga, iż w jej sercu zakwitną te drogocenne uczucia, ta staje się zdolną do najwznioślejszego czynu, niesie ulgę swojej bolesnej matce, bolesnej-drużynie. I na czemże polega bohaterstwo i poświęcenie niewiasty? Zapewne, że nie na formowaniu dwutysięcznego pułku kobiet, nie na przywdzianiu wojskowego munduru. O! nie, to nie jest heroizm, to byłoby ubieganiem się o „marnej sławy wieńce *) to byłaby tylko ułuda, którą „wyższa moc ducha“ odtrąca. Bohaterstwo i poświęcenie niewiast polega na uczuciu ich serca — zdolnem ogrzać zlodowaciałych braci, zdolnem obudzić ducha nietylko w zwątpiałych, ale i w zamarłych; zdolnem natchnąć męztwem tych, którzy do męztwa zrodzeni, ale się z niego niedbalstwem i swawolą wyzuli. Oto jest bohaterstwo, oto poświęcenie obywatelki. Nie w każdem ono rodzi się sercu. Trzy są niezbędne warunki potęgi uczuć nadziemskich:

*) Zygmunt Krasiński.

Trzy piękne pieśni od niebios natchnione,
Lejące życie w świat nutą po nucie —
Trzy piękne kwiaty w sercu zaszczepione,
Rosą łez wiary świętej pozłocone:
Miłość — tęsknota — przeczucie!

Miłość! — ale to nie ta ziemska miłość powabów, tem bardziej nie miłość rozkoszy — nie miłość rachuby, interesu, widoków — o! nie, miłość, o której mowa, jest świętą, czystą miłością. Jeżeli dziewica ma taką miłość w sercu swojem, to kocha tylko Boga, rodziców i ojczyznę, a jeżeli jej syna jakiego pokocha, to *tylko* dla tego, iż on w tej samej myśli, co i ona, z ochotą swe życie poświęci.

Tęsknota — znowu to nie za cackiem, nie za kochankiem — ale za sprawą, którą kochanek ten uczuł i zrozumiał, tęsknota, za wieścią o jego godnem wystąpieniu, to spartańskie oczekiwanie wiadomości o poświęceniu się bardzo drogiej sercu naszemu istoty.

Przeczucie, o to święta władza rozkoszą i szczęściem napełniająca duszę niewiasty. Takiego przeczucia nie wszyscy jesteśmy godni. Jestto utajony głos Boga, przemawiający do serca; ale tylko do serca, zdolnego zatapiać się w szczęściu ogółu, i zdolnego chrześciańsko się poświęcić.

O! która z naszych niewiast uczuje te trzy potęgi w swem sercu, niechajże ich używa skutecznie dla braci! każda taka bohaterka ma silny, nieprzezwyciężony wpływ na otaczających — niechaj że go używa — niech nawraca odszczepieńców, niech leczy chore i na duchu i na sercu upadłe, niech wskrzesza będące w otrętwieniu. Wszystkiego dokona — bo w jej ręce złożył Bóg władzę cudotworczą, on ją stworzył bohaterką, ona boską ma siłę w każdem słowie, w każdej łzie, w każdem spojrzeniu swych oczu, tembardziej w każdej modlitwie.

Nie wątpić nam, iż na pociechę naszą są pomiędzy Polkami bohaterki zdolne do poświęcenia się na poprawę ogółu. Spełnianie swego posłannictwa mają za najświętszy obowiązek.

A które one są, poznamy je po ich obliczu, po ich nadziemskiem spojrzeniu, mają bowiem silniejszy i piękniejszy wyraz twarzy, który nam prześlicznie odmalował autor powieści: *Na Rozdrożu* *): „Jest coś nieopisanie tęsknego w twarzach polskich niewiast. Tęsknota, ta niewieścia część miłości.................... rozlała się po ich licach, uwięzła w długiem, głębokiem spojrzeniu. Ta sama tęsknota kształciła też w naszych niewiastach zmysł przeczuwania. Jak jaskółki, co przepowiadają swą niespokojnością burzę, i cieszą się nadejść mającą pogodą: tak i w nich uśmiech, ten uśmiech serdeczny, naiwny i słoneczny, niesforność uczucia i egzaltacya duchowa, są znakami jakiejś narodowej burzy, lub wschodu słońca w ciemnościach....... One pierwsze stroją się w narodowe barwy, gdy chwila zapadnie; magicznością rozpromienionej duszy utrzymują one serce narodu w naprężonym stanie ofiarniczego poświęcenia, bezgranicznej wiary i nadziei.“

Poznasz Polkę szczerą w chwili bolesnej rozpaczy dla innych, jak kirem żałoby okryta, klęczeć będzie przed krzyżem Zbawiciela, i nie modlitwą słowną, ale łzą tylko oświecającą jej wzniesione ku Niebu oczy, zaniesie do Niego skargę na barbarzyńskie prześladowanie niewinnych... Poznasz ją, jak z wesołem, chrześciańską pociechą jaśniejącem obliczem, leczyć będzie ranionych w nierównej walce, jak się cisnąć będzie z swem słabem ramieniem do poniesienia zwłok na cmentarz tych ofiar, które tego samego poświęcenia dokonały, jakie w jej sercu żyje i żyć będzie na wieki.

Gdy ujrzysz taką niewiastę, oddaj jej cześć, bo ona cię, choćbyś upadał, podźwignie — bo to jest: Polka bohaterka.

⊙

MARYA LUDWIKA GONZAGA.

Szkic historyczny.

Przez Autora

ANNY JAGIELLONKI.

(Dokończenie)

Niemożemy tu wchodzić w szczegółowy opis rokoszu Lubomirskiego, w szczegóły tej nieszczęśliwej i demoralizującej wojny domowej. Z różnorodnych źródeł trudno dobadać prawdy: jak dalece Lubomirskiego sprawa była popularna. To pewna, że najniepopularniejszą była w niej sama królowa, którą Joachim Jerlicz w swoim pamiętniku nazywa: „karolichą“, a dla której i inni pamiętnikarze słów nieszczędzą. To pewna, że Lubomirski między swoich stronników liczył poważnych i czystych senatorów, między innych sędziwego kasztelana krakowskiego, Stanisława Warszyckiego; że biskup krakowski Trzebicki uznawał wielkość wyrządzonej mu krzywdy, że szlachta małopolska przedewszystkiem, a i Wielkopolanie byli popieraczami jego sprawy. Z drugiej strony miał wielu ludzi dobrej woli przeciw sobie. Przeciwnym był mu *Revera* Potocki, który się o to z własnym synem a Lubomirskiego zięciem pokłócił; przeciwnym był mu Stefan Czarniecki. Ten przeczuwał zapewne w marszałku dumę możnowładczą, której sam szczególniej podczas wyprawy na Rakoczego doświadczył.

Królowa cuda robiła, aby powiększyć stronnictwo dworskie. Nieszczędzono niczego, aby zmocnić obóz nieprzyjaciół marszałka. Ale największą królowej zdobyczą był młody chorąży koronny Jan Sobieski. Sobieski stał się ramieniem dworu. Jeżeli łaski królowej i króla popchnęły go ku tej stronie, więcej jeszcze niezawodnie działał emissaryusz w rogóżce, piękna żona wojewody sandomierskiego, Zamojskiego, Marya Kazimiera. Ku niejto pałał gorącą i pełną galanteryi miłością przyszły bohater Chocima i Wiednia, z nią utrzymywał sekretne stosunki podczas życia męża, które miały polityczną barwę o tyle, że Sobieskiego przywiązywały do partyi królowej. W zbiorze listów przez Z. A. Helcla wydanych znajdujemy czułe allegoryczne tyrady dla pięknej wojewodziny, gdzie ona sama figuruje pod symbolem bukietu, Sobieski pod symbolem Sylvandra, Celadona, lub garderobianny Beaulieu, a nieszczęśliwy Zamojski pod przezwiskiem: *le boeuf* albo *la flûte*. W sam czas przed odkryciem tego stosunku umarł Zamojski, chyląc się w dniach ostatnich do Lubomirskiego obozu, a królowa równocześnie prawie z tryumfem z upadku marszałka obchodziła suto i wytwornie wesele młodej wojewodziny, wdowy, z sukcesorem laski marszałkowskiej wielkiej — panem Janem Sobieskim. Cuda przepychu i ceremonie dosyć francusko-śliskie były na tem weselu szczęśliwych kochanków, ale naród niezapomniał nigdy Janowi III, że szczęście swoje zbudował na ruinie chwały wielkiego i zasłużonego ojczyznie obywatela. W dalszej Sobieskiego karyerze, za czasów Jana Kazimierza, widzimy wszędzie demoralizujący wpływ nieszlachetnej, ambitnej jego żony, widzimy jak z miłości do niej nagina się do służenia dworowi i jego celom, chociaż w gruncie duszy czuje głęboką boleść z niechęci publicznej ku sobie, która nawet udzielonych przez dwór tytułów przyznać mu niechciała.

W 1665 zapośredniczył biskup Trzebicki chwilowe zawieszenie broni między gotowemi już do boju wojskami (pod Palczynem). Lubomirski przeprosił króla, a król miał mu powrócić buławę hetmańską: ale starania królowej zapewniły po śmierci Stefana Czarnieckiego hetmaństwo polne Sobieskiemu, a sejm roku 1666 zerwał Lukomski z namowy Maryi Gonzagi. Lubomirski w r. 1667 wystąpił silniej niż kiedykolwiek. Sam król z żoną i dworem, Sobieski jako hetman polny rozpoczęli nieszczęsną wyprawę. Po stronie marszałka była masa szlachty, po stronie króla większą częścią zaciężne pułki zagraniczne. Szlachta była znudzoną i zgorszoną długiem przewlekaniem sprawy, a w pamiętnikach Paska znajdujemy ciekawe rysy dowodzące, że nieuznawała słuszności ani królewskiej, ani marszałkowskiej sprawy. Przyszło jednakże do bitwy w błotach pod Montwami. Młody Sobieski, olśniony faworami dworu, spotkał się z starym, doświadczonym, oburzonym wojownikiem: Lubomirski zwyciężył. W trzęsawiskach Montewskich zginęło wiele braci i żołnierzy obcych. Król i królowa z niemałym strachem dowiedzieli się o skutku bitwy.

---

*) Pan J. S.... Powieści tej wychodzącej jako dodatek do „Dziennika literackiego“ pojawiły się dopiero 2 arkusze.

Szlachta wyprawiła do króla poselstwo z kondolencyą. Cóż się dumnej Maryi Ludwice dziać musiało!?

Ale Lubomirski niechciał, czy niemógł korzystać ze zwycięztwa. Może wiedział, że jawny bunt odwróci od niego umysły szlachty, może wiedział, że drugiej stanowczej bitwy nie wygra. Ale wolimy przypisać jego ustąpienie: jego sumieniu. Lubomirski chciał szlachetnej zemsty, ale nie świętokradzczego porwania się na króla. W Łęgonicach odbył się akt przeprosin. Król, królowa, i cały dwór byli obecnymi. Lubomirski zsiadł z konia, i — upadając na kolana — zapewnił króla o swojem posłuszeństwie. Król podał mu rękę milcząc. Była to chwila godna znakomitego pęzla. Lubomirski był tryumfatorem w tej chwili, bo król musiał się zobowiązać, że o elekcyi za swego życia myślić nie będzie. Marya Gonzaga widziała zniszczenie wszystkich nadziej; ale nierozpaczała jeszcze.

Lubomirski wyniósł się na Szląsk. Król niepowrócił mu urzędów. Następnego roku (1667) umarł znękany marszałek na obce ziemi, na ręku syna swego Stanisława *).

Wieść o jego śmierci podniosła nadzieje Ludwiki. Wróg śmiertelny już nieżył. Na sejm wniesiono znowu sprawę elekcyi, forytowano ją zabiegami polityki zewnętrznej. Zajęła ona znowu miejsce przy owem oknie, które sobie do sali sejmowej wybić kazała. Słaba, znękana, otoczona od lekarzy brała udział w rozmowach ministrów z królem, pisała listy do Francyi, prosząc Enghiena na tron. Ale jakież było jej zdziwienie, gdy dawni stronnicy, między innymi Pac, kanclerz litewski, wyrośli na forytowaniu elekcyi, oświadczyli się przeciw niej, oświadczyli z prywaty! Jakież było jej oburzenie, gdy sejm w burzliwych sesyach stanowczo jej się sprzeciwił.

Tego niemogła znieść dusza Maryi Gonzagi! *Ergo moriendum!* (Umrzeć trzeba) powiedziała sobie jak niegdyś kochanek jej, Cinq Mars, gdy mu się wywrócenie Rycheliego nieudało.

„*Ergo moriendum*" powiedziała sobie zawiedziona w pracach całego życia, w jedynem jego marzeniu. A król, odbiegając od jej łoża boleści, hulał sobie tymczasem na dworskich festynach, oburzając się na dworzan, którzy mu o niebezpieczeństwie jej zdrowia mówili. Biedna Marya Ludwika!

Szukała więc pociechy w religii, bo była pobożną. Dysponowawszy się na śmierć, umarła w Warszawie r. 1667. Nikt jej, prócz stronników, w kraju niezałował. Ale Jan Kazimierz poznał wkrótce wielką stratę swoją, stratę podstawy swego panowania, stratę gotowego doradzcy we wszystkich wypadkach. Sponurzał lekkomyślny jego umysł, zarówno do hulactwa jak do melancholii skłonny, i dziwnie pusto musiało mu się dziać w duszy, gdy siedząc na balkonie w ulicy kanonnej w Krakowie, przypatrywał się żałobnemu konwojowi, wiozącemu ciało małżonki. Wtenczas zapewne utwierdził się król w myśli abdykacyi, którą mu konająca Gonzaga podszepnęła może. Ufny w siłę francuskiego stronnictwa, ufny w pomoc zagraniczną spodziewał się zapewne, że skoro się usunie, łatwiej dopnie celu myśl, która przeżyła jego żonę. Sejm r. 1668 był sejmem *abdicationis*.

Ale myśl Maryi Gonzagi, po śmierci jej jeszcze doznała niszczącej dłoni Nemezy historycznej. Stronnictwo kondejskie upadło, a naród, zniechęcony intrygami, obrał jednomyślnie Piasta, Michała Wiśniowieckiego. Jedną zaś z pierwszych czynności sejmu konwokacyjnego było zniesienie wyroku królewskiego, skazującego na infamią zmarłego przeciwnika królowej, marszałka Lubomirskiego. Wielka to i pamiętna dziejowa nauka, że naród wolny wcześniej czy później odepchnie od siebie choćby zbawienne myśli, gdy środkami ich są machinacye, krętactwa i zakulisowe intrygi.

Pamięć Maryi Gonzagi wzniosła się jednak w biegu wieków; historya obrachowała jej błędy i jej zasługi, i poświęciła jej chlubne, chociaż tragiczne wspomnienie. Pomógł do tego szczególniej kontrast z Maryą Kazimierą. Dzisiaj podobna nam tylko z części wspominać o tej energicznej i rogatej kobiecej duszy.

W życiu domowem łączyła Gonzaga dworską ministeryalność z dworskiem nabożeństwem czasów Ludwika XIVgo. Ulegała dworakom Francuzom i dworakom jezuitom, tym ostatnim aż do śmieszności. Dziwna jej natura, skołatana myślami o polityce, lubiła uciekać w ustroń klasztorną do sprowadzonych przez siebie do Warszawy PP. Wizytek i Siostr Miłosierdzia. Tam z klasztornej ciszy wychodziły czasem myśli, które Polską trząść miały. Jakaż różnica między tą pobożnością a pobożnością Anny Jagiellonki!

Gonzaga leży w grobach Wazów, w pięknej, ale bez ozdób trumnie. Po nad trumnami grobu tego wznosi się wielki sarkofag kryjący ciało niewielkiej, ale namiętnej duszy Jana Kazimierza! U stóp trumny Gonzagi stoją dwie małe trumienki jej dzieci wcześnie zmarłych, dzieci, które miała z dwoma braćmi. Nieszczęściło się małżeństwo przeciw naturze, chociaż za dyspensą. Marya Ludwika umarła bezdzietną.

Józef Szujski.

*) Lubomirski pochowany jest u OO. Karmelitów na Wiśniczu. Przed kilku laty oglądałem jego zwłoki, spoczywające w marmurowym sarkofagu. Dobrze zachowane rysy odkryły mi wiele tajemnic duszy marszałka. Może to było przywidzenie poetyczne; ale zdawało mi się, że niespokój jakiś poniósł z sobą do grobu. Czoło jego wysokie okrywa mitra książęca. P. A.

KRAKOWIAK.

Buja orzeł w chmurze, ptacy się lękają,
A w karczmie, w rząsieckiej, krakowiaka grają.
Buja orzeł w chmurze, lękają się ptacy,
A w karczmie hulają chłopcy krakowiacy.
Chłopcy krakowjacy idą w tan ognisty,
A Staszek ich wiedzie, krakowiaczek czysty.
Co obleci w koło, to zawinie połą,
I czapki nasadzi, i śpiewa wesoło:

* * *

Jeden Bóg na niebie, jedna Matka Boska,
I jedna na świecie ta ziemia krakowska,
I jak jedno słońce na cały świat świeci,
Tak ci jeden Kraków i krakowskie dzieci.

Krakowiaczek ci ja, w Krakowiem się rodził,
I w białej sukmance całem życie chodził.
Jak śnieg, sukmaneczka, bo i dusza biała,
Dla dobrych serdeczna, a dla złych jak skała.

Pasiczek kowany, stem kołeczek dzwoni,
I z dala znać daje, że krakowiak goni;
Że krakowiak goni i pasikiem trąca,
I obces uderza, a milczkiem nie kąsa.

Koszulka wyszyta w przeróżne kwiateczki,
Rączkami jedynej, najmilszej dziewczki;
Szyła ci ją, szyła krakowianka taka,
Co obcego niechce, jeno krakowiaka.

A w sercu goreje, jak czapka na głowie,
Jak buchnie wspominiem, to aż przejdzie mrowie;
Ogniście się żarzy, ledwie że nie sparzy,
Tak ci je rozgrzali Krakowiacy starzy.

I pawie pióreczko prześlicznie się mieni,
I miga złocisto na onej czerwieni.
Widno z tego złota, że w duszy ochota:
Nie skąpić w potrzebie czerwieni i złota.

Na cal podkoweczka iskrzy stalą twardą,
Dalej chłopcy! dalej po krakowsku hardo!
Po krakowsku hardo, kiej chłopcy w tan ruszą,
Kto im chce zastąpić, niech się żegna z duszą.

* * *

Szumi potok, szumi, kamienie roztrąca,
Cóż niemam być wesół, kiej ma dusza wrząca?
Kiedy wrząca dusza, kiedy serce czyste,
I czapka na uchu i skrzypki ogniste?

Leci sokoł, leci, skrzydłem trąca chmury,
Albo nam to Pan Bóg odpowiedział z góry?!
I w ciężkiej potrzebie odrzucił od siebie,
I słońce zaświecił ostatnie na niebie?

Płynie Wisła, płynie do samego Gdańska,
Kraków nie zaginie, bo wielka moc pańska;
Kraków nie zaginie, bo krakowiak żyje,
I jak Bóg przykazał w podkoweczki bije.

Oj nie zginie Kraków, póki ma swe dzieci;
Póki ta Maryacka w rynku wieża świeci;
Dopóki tych mogił, co się w niebo wznoszą,
I tonów Zygmunta, co za nami proszą.

Póki serce bije pod sukmanką białą,
Póki Wawel na świat patrzy smoczą skałą,
I zamek stać będzie na wawelskiej skale,
I póki tej skały nie rozbiją fale,
I póki tej Wisły, co pod zamkiem płynie,
Póki ona płynie, Kraków nie zaginie.

Niechaj rybka pływa, niechaj ptaszek lata,
I krakowiak śpiewa, póki stanie świata:
Jeden Bóg na niebie, jedna Matka Boska,
I jedna na świecie ta ziemia krakowska.

W. L. A.

Przegląd dzieła,

zawierającego w sobie

życie Autora Śpiewów Historycznych.

(Dalszy ciąg).

Przebiegniemy dalszy ciąg dzieła, ile możności najkrócej, przytaczając słowa samego autora:

Na pamiętnej sesyi, dnia 14go listopada, mowcy sejmowi rozbierali, z rozmaitym obrotem, też same prawie tylko myśli, które Niemcewicz był wyłożył.

Pan Szczęsny Potocki, poseł bracławski, dotąd miany za wzór najwyższego patryotyzmu, czczony, wielbiony powszechnie, wyszedł z izby, nie chcąc wotować, wyraźnie naganiając dążenia partyi narodowej, i z postanowieniem odłączenia się od niej. Już więcej do obrad sejmowych niechciał należyć, i żadne prośby, żadne rozumowania i nalegania w różny sposób próbowane nie przemogły jego w tej mierze uporu, który się w milczącem przeczeniu zamykał. Opuszczony niebawnie od świata warszawskiego, co go dotąd czcił i wywyższał, wyjechał nakoniec z Warszawy za granicę i dał się potem ułudzić podszeptom i pokuszeniom Moskwy, którym już był wprzódy ucha nadstawił. Wotowanie trwało do późnej nocy. Nareszcie po sekretnych wotach, gdy deputowani do konstytucyi, jak wówczas ich zwano, powstali z senatu i z izby poselskiej do obliczenia głosów, napełnione publicznością ganki, drzwi i przedsienia izby zatrzymały dech, aby słyszyć stanowczy wyrok, między partyą wówczas królewską, a patryotyczną, między Moskwie poddaną, a niepodległą Polską. W głośnem wotowaniu było 35 kresek przeciw komisyi, lecz w tajemnem było 82 za nią. Zwycięztwo rzeczywiste, któreby było zniweczyło wojska i potęgę Moskwy, nie sprawiłoby Polakom większej, a poniekąd szaleńszej radości, jak to zwycięztwo w wotach sejmu, które było niewątpliwym znakiem usamowolnienia narodu.

Partya patryotyczna była więc przemogła, pomnażała się codzień i niemożna było już wątpić o jej stanowczej odtąd przewadze.

Ale niestety, w jej łonie znaleźli się wichrzyciele, czy omamieni, czy fałszywi bracia.

Tu się zaczyna epoka druga sejmu, epoka złowieszcza, w której Polacy, sobie zostawieni, wolni od wszelkich więzów, sami zterali czas najdroższy, co miał być użytym na wzmocnienie i ustalenie odzyskanego bytu. Stronnictwo szczególnie hetmana Branickiego, najmocniej przeciwne królowi, które od początku sejmu pomnażało szeregi patryotyczne, wzięło, na pokrycie swoich nieczystych celów, pozór wielkiego dbania o formy prawa, o przywileje i swobody szlacheckie. Do nich się czepiali domownicy pana Szczęsnego Potockiego, i niektórzy szczerzy Polacy, którzy w duchu konfederacyi barskiej nie chcieli przemocy moskiewskiej, ale też nie chcieli żadnego ukrócenia przywilejów, ni ograniczenia złotej wolności szlacheckiej, żadnej poprawy w kraju, któraby mu z porządkiem więcej dzielności nadała. Niszczące czas rozprawy były popierane przez ostatnie rezerwy partyi moskiewsko-królewskiej i przeciągane także przez liczną zawsze w sejmach klasę jurystów, co, zawsze gotowa popisywać się z wymową, rozumiała, iż nie może lepiej służyć rzeczypospolitej jak cytowaniem przy każdej okoliczności artykułów dawnych konstytucyj i wznawianiem trudności nad każdem słowem mającego się postanowić prawa.

Utrzymana w zasadzie komisya wojskowa stała się dla źle chcących pierwszem polem, na którem mogli

swe szkodliwe zamiary do skutku przyprowadzać. Większość sejmowa dała się uwikłać w nieskończone rozprawy nad urządzeniem i składem tej magistratury, nad komputem i formacyą wojska. Rozprawy ciągnęły się leniwo, kiedy pośpiech był koniecznym, trwały przez kilka miesięcy, i nareszcie dały byt magistraturze, najgorzej urządzonej ze względu na cel zamierzony, nieumiejącej wcale prędko i skutecznie dać rzeczywistości i życia zastępom wojskowym, któremi miała zawiadować. Osoby wyższego czy talentu czy położenia, przodkujące w partyi patryotycznej, postrzegły wkrótce do czego dążą zastarzałych lub fałszywych patryotów zamiary; nie tak prędko, ani równie dobrze poznała się na tem większość sejmujących.

Po skończonych rozprawach o departamencie i komisyi wojskowej, ci, których zamiarem było zniweczyć porę szczęśliwą dla Polski, umyślili dopraszać się o limitę sejmu pod pozorem nadeszłego czasu kontraktów dubieńskich, gdzie naówczas traktowała się większa część interesów pieniężnych kraju. Prawdziwi patryoci okrzyknęli się przeciw tak nierozsądnemu i zgubnemu wnioskowi: „Z niemałem zadziwieniem, rzekł Niemcewicz na sesyi dnia 18go grudnia, widzieć mi przychodzi, że gdy ustawicznie słyszyć się dają skargi na stratę czasu, na opieszałość w obradach, na zwłoki: my lepszego lekarstwa przeciw tylu złemu wymyślić nie mogliśmy, jak limitę; lepszego nie znaleźliśmy sposobu, żeby zaradzić potrzebom rzeczypospolitej, jak ten, żeby rzeczpospolitą porzucić. Któż jest, prześwietne rzeczypospolitej stany, tak złym, lub któż jest tak ślepym, żeby się miał tego domagać? Komuż własny interes milszy nad ojczyznę? Jakże! dla następujących kontraktów porzucić mamy obrady nasze? Nie wątpię, że interesa na sejmie dubieńskim sporzej daleko iść będą, niżeli tu w opłakanej naszej rzeczypospolitej. Jeżeli zatem kto przekłada kontrakty nad rzeczpospolitę, niech wychodzi z tej praw świątyni, niech z murów miasta tego wyjeżdża, niech się oddala; ale niech losy rzeczypospolitej w gorliwszych zostawi ręku. My nie ustawajmy w pracach naszych, poprawmy się, bądźmy czynniejszymi... Prześwietne rzeczypospolitej stany! pamiętajmy, że straszniejszego nie mamy nieprzyjaciela, jak zwłoki; pamiętajmy, że jeśli dziś rzeczy polskich nie podniesiemy,—nie okoliczności, ale nas samych będzie to winą; na nas spadną łzy i cierpienia pozostałych po domach braci, na nas narzekania następnych wieków, a dręczące sumienie jędze wyrzucać nam będą przez resztę dni naszych i dzisiejszą opieszałość i przyszłe nieszczęścia... Nie limitować, ale pracować, ale czuwać nad losami rzeczypospolitej należy. Prześwietne rzeczypospolitej stany! nie rozrywajmy grona naszego póty, póki nie ujrzymy rzeczpospolitę porządną, silną i szczęśliwą.“

(Dokończenie nastąpi.)

Szkice Karnawałowe;

przez

Mateusza Wszędobyłę.

(Ciąg dalszy).

III.

Epizod o hrabi Wiktorze i księżniczce Antoninie — koniec awantur romantycznych Salezia na balu u państwa . . . kich.

Spojrzenie, które hrabia Wiktor rzucił na księżniczkę i spojrzenie z drugiej strony w kierunku Wiktora rzucone, miały rzeczywiście wielkie powinowactwo. Była tam boleść głęboka, prawdziwa, był ogień, płonący w toniach serca płomieniem czyścowem i dobywający się na jaw chwilami, aby znów zniknąć w ciemnej, smutnej źrenicy, była pieszczotliwość miłości, dopytująca się drzeniem: jak się ma serce twoje? ile cierpiało? Wiktor z obojętnego salonowca nabrał przez moment jeden wyrazu średniowiecznego ascety, ale ten wyraz znikł szybko jak błyskawica, a na twarzy został tylko pewien wyraz smutku, pomieszany z ironią bolesną, gdy księżna, matka pięknej Antoniny, odezwała się do niego:

— *Cher Victor!* tańczy i bawi się do upadłego! Gdzie przyjść, wszędzie go zastać można.

— Ma księżna słuszność, bawię się na śmierć.

Lekkie drzenie wstrząsnęło postacią księżniczki. Oczy jej pełne obawy zwróciły się ku Wiktorowi. Ale Wiktor przywdział już salonowe domino, kryjące wszystkie uczucia serdeczne. Zbliżył się do niej i zaprosił do tańca.

— Przepraszam cię Wiktorze, rzekła księżniczka zaledwie słyszalnie, musiałam przyjąć w domu jeszcze...

— Zaprosiny na wszystkie tańce hr. Franciszka — nieprawda? Ale ja cię proszę do polki, moja kuzynko.

— Mama nie pozwala mi tańczyć polki. *Elle trouve, que c' est une danse indecente.*

— Tak? Odkądże mamę taka napadła obawa?

— Wiktorze! Wiktorze! mówiła błagalnie księżniczka, bądź spokojny i rozsądny.

— O! ja jestem spokojny i rozsądny, Antonino! mój biedny, cierpiący aniele!

W oku pięknej księżniczki zabłysła łza, którą ukryła za wspaniały wachlarz. Książę Franciszek, człowiek marmurowych, obojętnych rysów zbliżył się z konwencyonalnym uśmiechem, przypomniał jej przyrzeczenie. W Wiktorze zakipiała krew, machinalnie chwycił się za serce. Długą chwilę stał tak na środku salonu, póki go nieobudziło potężne szturknięcie łokciem. Był to Salezio, który pląsał z baronówną.

Względny na czytelników Wszędobyła, musi coś bliższego o stosunku Wiktora z księżniczką donieść. Wiktor chował się u księstwa, Antonina była jego rówienniczką. Wcześnie obudziło się gorące uczucie w chłopcu do towarzyszki lat dziecinnych, uczucie tem silniejsze, że je podbudzało dziwne podobieństwo wyobrażeń. Dwór księstwa miał francuskie obyczaje, mówiono w nim obcym tylko językiem, ciągniono do Paryża jako do Eldorado wszelkiej doskonałości. Ale Wiktor i Antonina nie dzielili tej kołowacizny. Wiktor pamiętał, że ojciec jego umarł w lodach sybirskich i przechował w sercu tradycyą gorących uczuć narodowych. Oboje młodzi namiętnie kochali ojczysty język, ojczystą literaturę, kraj ojczysty. Nieraz, wróciwszy z zagranicy, rozkoszowali w naturze polskiej, unosili się widokiem polskiego krajobrazu, a uciekłszy, z niesympatycznego angielskiego parku, siadali pod wiejskim krzyżem marząc i dumając, czytali tam dzieje narodu i wielkie jego duchów płody. Księżniczka marzyła, jak będzie dobrą i patryotyczną obywatelką, Wiktor jak godnym jej będzie rycerzem. I wśród tych szlachetnych, ogólnych uczuć wzrosło piękne, wielkie, namiętne uczucie, uczucie miłości.

Niestety! księżna matka niepodzielała usposobień córki i wychowańca. Francuska grande-dama wychowaniem i przyzwyczajeniami, europejska arystokratka wyobrażeniami społecznemi, siedziała ona w alamanchu gotajskim, wyszukując partyi dla córki między licznemi princami i comtami za granicą, niewidząc dość dystyngwowanego zięcia w kraju. Baczne jej oko spostrzegło wcześnie niebezpieczeństwo grożące ze strony Wiktora, biednego hrabiego krajowego (?), który majątkiem i wyobrażeniami stał prawie zupełnie w sferze zwykłej szlachty. Uciekła się więc do środków represyjnych, skło-

niła męża, że Wiktora posłał na uniwersytet, utrudniła przystęp do córki, a w braku zagranicznych wielkości przeznaczyła Antoninę dla księcia Franciszka, człowieka podług myśli swojej.

Niewiedziała, albo raczej niechciała wiedzieć księżna, ile boleść sprawiła córce i Wiktorowi. Uczucie ich wzajemne miało głęboką podstawę, tem głębszą, że wszystkie najszlachetniejsze uczucia plotły się z niem i wiązały. Było to więc obaleniem wszystkiego, co jedno i drugie marzyło, ruiną całego wewnętrznego szczęścia. Ale podczas, gdy księżniczka Antonina wyrobiła sobie piękną, chrześciańską rezygnacyą, poddanie się losowi bez skargi, chowając płacz serdeczny i momenta rozpaczy, jako sekret swego pokoju panieńskiego: Wiktor namiętny, gorący, szarpał się i targał wewnętrznie, a choć nieśmiał targnąć się na wolę tych, co mu byli wychowawcami, to przecież przenosił osobistą boleść swoją na obóz tych, między któremi książęta D. byli świecznikami. Niesłusznie zatem utrzymywał interlokutor, że księżniczka broniła Wiktora od zostania demokratą: przeciwnie los go pędził aby zatrzasnąć drzwi salonu i powiedzieć sobie: tam pękło serce moje, bo tam niema serc, prócz jednego!

Takie myśli zajmowały Wiktora, gdy łokieć Salezego zadał mu potężny raz, o którem-eśmy mówili. Obudził się on z dumania i ujrzał przenikliwe oczy księżny, zwrócone wprost na niego. Księżna dała mu znak, aby się zbliżył.

— *Cher Victor!* mam ci jedno słówko do powiedzenia, ozwała się księżna, fatalnie po polsku mówiąca, jak konduktor na galicyjskiej kolei.

— Słucham Księżnej, rzekł zimno Wiktor.

— Uważam, żeś się jeszcze niezupełnie wyleczył z twoich betisów. Życzyłabym sobie, aby to prędko nastąpiło, bo mogą przyjść rzeczy, w którychby twoja kwaśna twarz mogła być wcale niedorzecznym romantycznym epizodem. Wyszedłbyś sam na tem najgorzej, bo by to było w złym guście.

— Nierozumiem księżny. Mogę ręczyć, że jestem zupełnie rozsądnym i zdrowo rzeczy widzę. Pojmuję doskonale, że księżna nieprzebierasz nigdy w środkach nakłonienia kogoś do swej woli, i co jest właśnie w bardzo dobrym tonie. Pojmuję, że księżna nie zważasz na żadne serce, choćby swojej córki, bo wiesz, że dobry ton z sercem nic niema wspólnego.

— Jesteś niewdzięczny i impertynent i *morveu*, Wiktorze! odrzekła księżna z gniewem. Możesz być pewnym, że moja córka ma zanadto zdrowego rozsądku, aby uważać miała na takiego szaleńca — studenta jak ty, i dla tego mi o nią niechodzi — ale chodzi mi o to, abyś, należąc do naszego towarzystwa, nieskompromitował się odegraniem roli nieszczęśliwego kochanka.

— Ma księżna zupełną racyę, i mogę zapewnić, że gdybym ją wziął na siebie, tak bym ją odegrał, żeby śmieszną być przestała, a mogłaby być — tragiczną...

— Tragiczną! odezwała się przestraszona księżna. *Vous ne roulez pas donc* wyzywać księcia Franciszka, i szukać awantury...

— Dla czego nie? Wiesz księżna, że strzelam i rąbię się doskonale...

— Wtenczas byłbyś zbrodniarzem, rzekła księżna stłumiono, wypadając z taktu i płonąc od gniewu. Byłbyś najczarniejszym niewdzięcznikiem, plebejuszem!...

— O niech się księzna nie unosi. Niewyzwę księcia Franciszka i nie będę szukał awantury, pozostawiam zupełnie sumieniu księżnej szczęście i nieszczęście księżniczki Antoniny. Księżna odpowie za nią przed Panem Bogiem.

— Ah! co do Pana Boga, to już moja rzecz. Przyrzekasz mi za tem być rozsądnym.

— Ah! owszem! kto w tem towarzystwie żyje, może się dostatecznie rozsądku nauczyć.

Księżna wstała i odwróciła się prawie niegrzecznie. Wiktor pozostał na miejscu z zaciśniętemi zębami — a oko jego ciemne, smętne utopiło się w postaci księżniczki Antoniny, tańczącej z przyszłym mężem; księżniczka była obojętną i marmurową. W tej chwili Salezio zbliżył się do hrabiego.

— Jakże się bawisz? spytał Wiktor.

— Wybornie! Baronówna mnie zupełnie podbiła. Co za rozum?! A i ładna, niech mnie djabli...

— Pst! djabli nienależą do dobrego tonu.

— Aa! odrzekł Salezio przestraszony. Alem cicho powiedział!...

Jakoż Salezy powoli zaczął się przyzwyczajać do otaczającej go atmosfery. Nabrał swobodniejszych ruchów, odezwał się kilka razy śmiało i decydująco, uśmiechnął z pewną ironią i pewnością siebie. Baronówna, jak przódy jawnie z niego wyprawiała drwiny, tak teraz ułatwiała mu o wiele wstęp w świat salonowy. Salezio uważał wprawdzie, że były młodsze i o wiele ładniejsze panny, ale niestety! odpychały go one sztywnością i sarkastycznością tak, że zawsze do baronównej powracać musiał. Widocznie podbił serce panny.

Ale niedosyć było na tem sukcesie. Panna Eulalia przedstawiła bohatera swojemu ojcu. Pan baron był człowiek stary, siwowłosy już, ale starość jego odpychała raczej niż budziła uszanowanie. Przeszłość jego pod żadnym względem niebyła czystą: ognik na wskróś— nic dlań niebyło świętego, prócz namiętności osobistych. Całe życie im służył, i stargawszy moralne i fizyczne siły, straciwszy ogromny majątek niespamiętał się jeszcze, niezastanowił nad losem córki jedynaczki.

Ciepielińskiego obrzucił baron tysiącem grzeczności.

— Sąsiaduję z ojcem pańskim... Ah! szanowny to, gospodarny obywatel. Bardzo miałem wiele szacunku dla niego... Co za szkoda, że dotąd żadnych z sobą niemieliśmy relacyj.

— O owszem, odrzekł niebaczny Salezio. Tata mi opowiadał, że chciał od pana Barona kupić jego majętność, zwłaszcza że...

— Prawda! prawda! bagatela! zapomniałem, odrzekł baron, reflektując Salezia, aby niewykształcił znacznej sumy, winnej panu Michałowi.

— Dla czegoż nie? Możemy zrobić interes... ja się wysprzedaję w kraju, dorzucił baron, na którego wieś rozpisana była licytacya. Ale, że z ojcem, niech to pana nieobraża, twardy interes, to może pan będzie łaskaw odwiedzić nas...

Salezio chłopskim rozumem zwąchał, o co chodzi. Baron spojrzał znacząco na córkę i z cynicznym wyrazem twarzy pocałował ją w czoło, szeptając:

— *Ah! vous etes un genie de la famille! Eulalieu.*

Eulalia szyderczo-miłośnie spojrzała na Ciepielińskiego.

Ale napisano było w gwiazdach, że Ciepieliński, jeszcze jedno głupstwo w salonie ma zrobić. Do właściwości jego natury, należał jak wiadomo niepospolity apetyt. Niewiem zkąd się dowiedział jednak, że wiele jeść nie należy do dobrego tonu. Niejadł więc, niejadł nic prawie, ani przy herbacie, ani przy kolacyi. Około pierwszej w nocy natura jego gwałtownie upominała się o swoje prawa. W obec głodu opuściły go wszystkie uczucia, nawet do panny baronówny.

Postanowił opuścić towarzystwo, a zbudziwszy kucharza w domu, powetować sutym bifsztykiem poniesione straty.

Niestety niewiedział biedny Salezio, jak się z towarzystwa dystyngwowanego wynosić należy. Podpadłszy Wiktora, odkrył mu tajemnicę swoją i zapytał o informacyę. Wiktorowi strzeliła złośliwa myśl do głowy:

— Jak się pożegnać? Każdą z pań pocałujesz w rękę, każdej pannie się ukłonisz. Salezio posłuszny, spłonął jednakże na samą myśl tego kolosalnego przedsięwzięcia. Poszedł krzyżową drogą i całował. Panie pootwierały wielkie oczy na niego — wnet atoli zmiarkowały się i podały mu ręce ze śmiechem. Grupa widzów otoczyła systematycznego Salezia. Przeląkł się biedny chłopiec, zatrzymał i chciał resztę dam zbyć ukłonem.

Ale kilkanaście rąk podniosło się, a jedna z pań odezwała się:

— *Achevez Monsieur* Ciepieliński. Byłybyśmy obrażone inaczej.

I Ciepieliński musiał dokończyć swoje przedsięwzięcie, musiał widzieć teatralne dygnięcia kilkunastu panien, które się sadziły na wyszydzenie nowicyusza. Spotkał nareszcie baronównę, która szepnęła cicho:

— *Vous êtes horriblement*... niedokończyła baronówna, kłaniając się najgrzeczniej. Biednemu chłopcu łzy się zakręciły w oczach. U drzwi żegnał go hrabia gospodarz frazesem:

— Panie Ciepieliński, mocno się cieszę z poznania tak znakomitego młodzieńca. Spodziewam się, że pan raczysz częściej nas odwiedzić.

Ciepieliński nic nieodpowiedział. Odetchnął dopiero w przedpokoju. W przedpokoju podawał mu lokaj paleto elegancko, z tąż samą sardoniczną miną. Ale Salezio sięgnął do kieszeni, wydobył pugilares i wsunął fagasowi papier bankowy. Gdy odszedł, lokaj zaśmiał się i rzekł do towarzysza:

— Mój Boże! ekonomczak! ale uczciwy człowiek!...

IV.

Nazajutrz po balu — U Salezia — Wiktora i u pana Barona.

Nazajutrz każdego balu jest nadzwyczajnie ważną chwilą. Śpią wszyscy, powiecie, ale ja dodam patetycznie z Hamletem: Jakie sny w tem spaniu?

Salezio zjadł bifsztyk, nieodpowiedziawszy na żadne z zapytań matki: Wrażeń było za wiele, trzeba było czasu, aby je uszykować. Szykował je Salezio podczas jedzenia bifsztyku. Powiedział nareszcie:

— Bawiłem się kapitalnie, Byłem widziany jak najlepiej. Wiktor mi zazdrościł i chciał mi szkodzić. Jestem proszony do baronów i do hrabstwa. Panna baronówna bardzo miła córka. Widoczniem jej się podobał. Spać mi się chce djabelnie — pójdę spać...

Poczciwa Ciepielińska z natężeniem słuchała tego napoleońsko-krótkiego biuletynu. Ułożywszy Salezia w wygodnem łóżku, myślała długo. Ustęp o baronównie szczególniej ją uderzył. „Baron bankrut, baronówna nienajmłodsza, widoczna, że Salezia ciągną“ myślała sobie i miała gotową odpowiedź: „nie dla psa kiełbasa“ t. j. Salezio nie dla baronówny, ale gdy rozmyśliła głębiej, gdy się zastanowiła nad znakomitością rodu baronów, nad łatwością nabycia ich obdłużonego majątku, która szczególniej, jak się spodziewała, mężowi odpowie, rzekła w głębi duszy: Ha! wola boska! zawsze Salezio wszedłby w dom dystyngwowany.

I pocałowawszy chrapiącego Salezia w szerokie czoło, oddaliła się do swego pokoju, śmieszna, to prawda; ale zawsze poczciwa matka!

Nazajutrz przyjmował Salezio w łóżku jeszcze kolegów. Byli to równi jemu, plebejusze. Co im opowiadał, jakie miał prelekcye! tego moje pióro opisać nie zdoła. Powiemy tylko, że nauka panny baronówny i hrabiego, nieprzyjaciela konfederatek, nieposzła w las. Salezio oświadczył się stanowczo przeciw Garibaldemu i Sardynii, i stanowczo przeciw konfederatkom. Koledzy słuchali zdziwieni, póki Tomasz, syn dawnego towarzysza pana Michała niezadecydował lakonicznie:

— Głupiś, kochany Salezy, głupiś! Państwo ci furą do głowy wjechało. No! ale świat dużo na tobie nie straci, a czy taka głowa od pustoty, jak twoja, chodzi w konfederatce czy w kapeluszu, albo i w czapce z bączkiem, żadne niezyska na tem stronnictwo.

Pan Tomasz widocznie zgodził się w zapatrywaniu na Salezia z każdą partyą.

W eleganckim apartamencie Wiktora, w którym gust zastępował zgrabnie zamożność, młody hrabia dumał puszczając kłęby cygarowego dymu. Łóżko, nierozebrane świadczyło, że sen niesklejł powiek cierpiącego młodzieńca. Liczne i dobre książki, i pisma czasowe w nieładzie rozrzucone pokazywały, że młody hrabia pracuje szczerze i serdecznie, że się zajmuje głęboko wszystkiem potrzebnem i szlachetnem.

Teraz atoli Wiktor innemi, osobistemi zajęty był myślami. Głęboka boleść wyryła się na jego pięknej twarzy. Ta boleść zmusiła go do uchwycenia kartki papieru i do skreślenia następujących słów:

„Anielska moja! Niemam siły opuścić cię na zawsze a niepożegnać cię choćby listownie. O! czem-eś mi ty była na świecie? Wszystkiem, wszystkiem, anielska moja. Tobie zawdzięczam, że niejestem, jak oni, jak ci, którzy cię poświęcają i sprzedają ... Jadę zagrzebać się w ciszy wiejskiej, w tem maleńkim kątku, który mi po ojcach pozostał. Będę tam pracował, trudził się, będę myślał i działał dla dobra ogółu... aby zapomnieć o tobie!...

Napisałem bluźnierstwo! Nie! nie! nie dla tego aby zapomnieć; ale aby ci pokazać, żem nigdy, nigdy nie zapomniał o tobie, że w pamięci mojej świecą na wieki te jasne światła młodości, które się nigdy, nigdy już niewrócą.

Tą myślą żyję, zmartwychwstaję z bólu, najdroższa moja! Ta myśl zaręcza mi, że się niezerwał związek dusz naszych, poczęty u chłodnego łona zmarłej, wielkiej zmarłej naszej. Ta myśl zaręcza mi, że życia nasze będą połączone z sobą, działania nasze na jednem spotkają się polu. O! będziemy dumni ze siebie nawzajem!

Ale jeżeli w duszy i czynach moich, ujrzysz czasami błyskawice gniewu na tych, co cię poświęcili, na tych, co na to poświęcenie obojętnem i konwencyonalnem patrzeć będą okiem, niegniewaj się Anielska moja! Jam człowiek. Przejrzałem ich... To zimne serca i dusze zimne. To konający świat stary. O! co się da uratować, niech się ratuje z tego rozbitego okrętu.

Ty, Anielska! wzlecisz białym gołębiem z tej burzy. Wiem o tem! A ja, ja, którego niestać na czyn młodzieńca z nocy letniej, ja będę żył zdala od ciebie i w rysach twoich czekał wyroku życia lub śmierci...

(Dok. nastąpi.)

TEATR.

W niedzielę mieliśmy znów dramat francuski pt. „Podrzutki“—z tym tylko dodatkiem że napisany do spółki, a to według owego ekonomicznego axiomatu podziału pracy, to jest, że jak u szewca jeden czeladnik robi cholewę, drugi podeszwę, a trzeci obcasy, tak i tu pan Anicet Bourgois napisał dwa akta, a p. Michał Masson drugie dwa, potem znowu pierwszy zakończył, a drugi napisał prolog. Jestto płód, który prawdziwie fabrycznym sposobem na świat przyszedł — i to w 7 aktach a 8 odsłonach. Domyślamy się również, że sztuka ta furore robi na każdym z przedmieściowych teatrzyków paryskich, gdzie 12 aktów jest najmilszem farniente dla strudzonego a łaknącego podobnej strawy robotnika, gdzie

40 morderstw popełnionych na jednej osobie wprawia w zachwyt i szalony entuzyazm, a czarny charakter obrzucany bywa zgniłemi jabłkami i twardemi ziemniakami. Nam niestety nie przypadają do gustu ani mnogie *trucicielstwa*, ani sztylety ani wieże piekielne, a z góry potępiamy już sam nawet tytuł sztuki i orzekający jasno dalszą treść, jako nietylko żadnej moralnej i estetycznej nie przynoszący korzyści, ale wprost nawet nasuwaniem niepotrzebnych scen, myśli i zdań demoralizujący. Dla tego nie wdajemy się w treść sztuki, ani w cele, które mogły powodować autorów do napisania tego łokciowego dramatu, — ani nie oceniamy pojedyńczych lepszych scen, ani nie krytykujemy tej profanacyj, że ś. Wincenty a Paulo na scenie kazania pali i spowiedzi słucha, a nawet cuda czyni — ale tylko naganiamy Dyrekcyi teatru, że takiemi sztukami karmić chce całą publiczność, lub też że dla małej jej części potrzebującej tem bardziej jeszcze zdrowej i pożytecznej rozrywki, takie sztuki, jako wabik niedzielny podaje. Uderza nas to tem więcej, że Dyrekcya jakby sama sobą oczarowana, z wielkim tryumfem powtarza w dni parę tę sztukę. Szkoda prawdziwie niezłej wcale gry wszystkich bez wyjątku artystów tą razą, — bo korzystniej i przyjemniej byłoby widzieć tychże łamiących się z trudnościami w innych utworach.

O przedstawieniu środowem powiemy nieco więcej. Grano dramat p. t.: „Domy polskie w XVII wieku, czyli córka Miecznika“ przez p. Majeranowskiego. Treść tego dramatu znajomą będzie wszystkim naszym czytelniczkom, bo nią jest to samo zdarzenie, które było natchnieniem Antoniemu Malczewskiemu, do napisania *Maryi*. A któż nie zna Maryi Malczewskiego — któż nie zna tego pierwszego poematu zwiastującego nam nową, a tak ślicznie rozwiniętą wkrótce epokę w literaturze naszej? Która z czytelniczek, spytamy się nawet śmiało, nie płakała nad nieszczęśliwą dolą tej ślicznej, tej uroczej Maryi, która tak niewinnie stała się ofiarą dumy zaciekłego wojewody? Z tego więc samego przedmiotu p. Majeranowski ułożył pięcioaktowy dramat, nie będąc po Malczewskim pierwszym ani ostatnim, który to zdarzenie opracowywał. Józef Korzeniowski najnieszczęśliwiej ze wszystkich sfałszował historyę o Giertrudzie Komorowskiej, (która jest opiewaną przez Malczewskiego: Maryą), nazywając swoją w (dramatycznej także formie), pracę: „Dymitr i Marya“. J. I. Kraszewski pisał z niej piękną, najwięcej prawdy historycznej mającą w sobie powieść — Słowacki Juliusz nareszcie gienialnym pęzlem odmalował dokończenie zaczętego przez Ukraińca obrazu, napisawszy „Wacława“, o którym sam we wstępie do niego wyraża się, iż jest dalszym ciągiem „Maryi“. Lecz właśnie ten gienialny i nieodżałowany wieszcz nasz, sam przyznaje się w tymże wstępie do obawy, z jaką się do swego utworu zabierał. „Są pewne przedmioty w literaturze, powiada on, o ile sobie słowa jego przypominam, których tykać się nam nie wolno skoro ich już wprzódy ręka mistrza się dotknęła. Takim przedmiotem jest Marya — a każdy, ktoby się ją przerabiać lub uzupełniać poważył, naraża się na grzech świętokradztwa“. W słowach tych zamkniętą jest cała krytyka późniejszych przerabiań, mianowicie też na scenę, przedmiotu Maryi Malczewskiego. Pan Majeranowski uszanował więcej wszystkie postacie w swym dramacie niż inni. Treść tylko ufantazyował nieco, intrygę jednak zachował tę samą, lubo jej nadał rozwiązanie inne, zdaniem naszem dość szczęśliwe — ale tylko o tyle, o ile z niego na nielogiczność i niekonsekwencyą charakteru Wojewody zważać nie będziemy. Dumny Wojewoda, przeklinający swego syna, za związek niestósowny z córką Miecznika, osadzający tego syna w więzieniu, upada na swej dumie — słabnie — i w końcu, za zbyt prędko, po wszystkich okropnych zemstach na własnem dziecku — podaje rękę ojcu żony, przywróconego na swe łono Wacława. Dobrze by to było niezawodnie, gdyby duma, ta duma, która tak wiele nieszczęścia na kraj nasz sprowadziła, dała się tak prędko zwyciężyć i złamać cnocie i poświęceniu, szlachetności i wytrwaniu. Lecz, niestety, ani w owych czasach tak się nie działo — ani, co gorzej stokroć, dzisiaj jeszcze tak się nie dzieje między nami.

Rozwiązanie intrygi nazwałem w dramacie p. Majeranowskiego, szczęśliwem, owóż przytoczę je tutaj w całości. Z rozkazu księcia(?) wojewody wysłani siepacze w maskach niby kuligiem, pod wodzą nikczemnego koniuszego Wilczka, (który kochając się bez wzajemności w Maryi, rozkazy swego pana wykonywa wraz z zemsty własnej z srogością), napadają osierociały dom miecznika, bo ojciec Maryi i mąż gonią właśnie za Tatarami, i porywają przemocą nieszczęśliwą ofiarę gniewu Wojewody i zemsty podłego służalca. Scena, w której się to dzieje ma w sobie wiele nienaturalności. Marya widząc się otoczoną zgrają najezdników, bezbronna i bez wszelkiej opieki nie miałaby zapewne siły do tak długiej deklamacyi, jaką autor kładzie w jej usta. Scena takiego napadu i wykradzenia odbyłaby się zapewne szybko — Marya walczyć w niej tylko mogła — wiarą i poświęceniem się za swą miłość dla Wacława.

Porwaną Maryą osadza Wilczek w więzieniu i tam po bezskutecznej walce z Sewerynem, przywiązanym towarzyszem pancernym Wacława, (a już dawno znienawidzonym od Wilczka, za to, iż nie dał się przekupić złotem, i osadzonym bez wiedzy wojewody w więzieniu), każe ją żywą zamurować. Sprawca tak niecnego czynu, stawiony przed wojewodę, kłamstwem broni swej niewinności — powiada, iż nie mogąc porwać Maryi, musiał ją utopić — bo, jak w oczy zadając fałsz wojewodzie, wymawia mu, iż jego nakaz brzmiał aby przywieść Maryą „żywą lub umarłą“. Wojewodzie sumienie wyrzuca zbrodnię okropną — dręczony niepokojem i żalem, przeklina Wilczka, przeklina swoję dumę — i z niej zostaje wyleczony poświęceniem się nieszczęśliwej synowej. Tymczasem zamek jego otacza Miecznik z Wacławem — wiedzeni rozpaczą i zemstą — przeciwko wojewodzie. Następuje walka. Zrozpaczony Wacław wpada z wściekłością do komnaty, w której zastaje nieszczęśliwego i przebaczającego mu wszystko ojca. Miłość synowska ciska go do stóp jego — piękna to scena pojednania się serc rodzinnych! A gdy z słów kilku dowiaduje się Wacław, iż sprawcą zbrodni był nie ojciec jego, lecz koniuszy — szukają go po całym zamku, zachodzą do więzienia, i w niem znajdują oniemiałego z przerażenia i ran świeżo zadanych Seweryna. Ten po chwili, przyszedłszy nieco do siebie — daje znak, że Marya żyje, - i wskazuje zamurowane miejsce. Wacław i stary Miecznik rzucają się z rozpaczą i nadzieją w to miejsce, odwalają mur, i wynajdują żywą jeszcze Maryę. Kończy się więc dramat, iż wojewoda przysłuchujący się szlachetnym słowom Maryi, która zrzeka się Wacława, niechcąc przez swą miłość być przyczyną tak srogiego gniewu jego ojca, zbliża się do niej, błogosławi Wacławowi jego związek małżeński, i Miecznikowi podaje rękę na znak zgody. Epilogiem tej sceny jest doniesienie dworzanina wojewody, o ścięciu koniuszego. Sądzę, iż każdy przyzna mi słuszność, iż to zakończenie jest dość szczęśliwe, lubo i w niem, jak w całym dramacie niewzajemna miłość koniuszego tak dla niego samego, jak i dla sztuki jest bardzo nieszczęśliwą. W dramacie tym, prócz tego jest jeszcze parę scen uderzających nieprawdą. W drugim akcie, np. kłótnia Seweryna z koniuszym w komnacie dumnego wojewody, nigdy się nie odbywała w rzeczywistości — aniby jej wywołać nie pozwoliła cześć z jaką służba przystępuje do swoich panów, ani duma pana ścierpieć by jej nie mogła.

O grze nie wiele jest do powiedzenia. Nie grano bowiem tego dramatu wprawdzie zupełnie dobrze, nie grano go też źle. Uderzającą tylko było rzeczą, że wszyscy niemal grający, (prócz p. Królikowskiego), przekręcali i psuli wiersze — tak, że często myśli autora w żaden sposób odgadnąć nie było można. Początkujący artysta p. Baronowski grał koniuszego, i możemy o nim powiedzieć, iż, chociaż do dobrego odegrania tej roli wiele jeszcze brakowało, dowiódł nią, że ma talent i siłę — z których można przy pracy coś zrobić. Panna Biedrońska grała z prawdą, i z wielką nieraz siłą, ale bez — wdzięku, bez poezyi — a dla nas, co znamy Maryę tak ślicznie, tak poetycznie odmalowaną, trzeba było koniecznie tego wdzięku i poezyi, abyśmy się mogli grą artystki zachwycić. Panna Safir, Sewerynka, odegrała z młodzieńczą energią i rozrzewniającem nieraz uniesieniem.

Opisanie ryciny mód paryskich za miesiąc marzec:

Stroje balowe. *Ubranie pierwsze*: Suknia fijałkowa z mory francuskiej. Spodnica gładka, tylko przód ubrany dwoma rozchodzącemi się w bok kolumnami, z czarnych koronek. Stan wycięty z długą bertą czarną koronkową. Rękawy krótkie oszyte takąż koronką, formującą rękawy szerokie. Na głowie włosy fantastycznie ułożone w pukle, warkocze, pióra fijałkowe i srebrne liście. Na szyi duże perły. Bransoleta złota z perłami. Rękawiczki zapięte na guziczki.

Ubranie drugie. Suknia czarna morowa gładka. Mantylka jasno-pąsowa, kolista z kapiszonem, bogato wyszywana i zdobna kutasami. Na głowie włosy podobnież ułożone jak poprzednie, ubrane w białe pióra i złote liście. Na szyi perły złote. Bransolety złote wyrabiane bez kamieni.

Ubranie trzecie. Suknia z niebieskiej tafty. Stan wycięty, ubrany garnirowaniem z tejże samej materyi. Na głowie włosy gładko zaczesane, ubranie półkoliste (diadem), z złotych kłosów i białych aksamitnych kwiatów ze złotemi środkami. W ręku bukiet z białych kwiatów.

Ubranie czwarte. Suknia biała illuziowa w niezmiernie wielkie bufy, tworzące dwie spodnice, spodnica pierwsza dolna, naciągnięta jest w pewnych odstępach na różowe wstążki, oszyte naokoło białym nężykiem illuziowym; spodnica górnia podpinana w festony bukietami z róż i srebrnych kłosów. Stan wycięty z bertą spiczastą układaną w grube fałdy z illuzyi. Na ramionach z przodu takież bukiety jak na spodnicy. Rękawy niezmiernie szerokie oszyte takimże białym neżykiem. Włosy ułożone w trzy wielkie na kark spadające pukle; diadem z róż i zielonych kłosów otacza czoło i spada na boki. W ręku wachlarz. Rękawiczki garnirowane neżykiem.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk., **Antoni Rother.**